



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

LUDWIKA PETERS.

Szlachetna przedstawicielka rozumnego postępu kobiety, Ludwika Peters, z domu Otto, Saksonka rodem, odeszła na odpoczynek wieczny, po życiu pracowitem i pożytecznem nie tylko dla narodu swego, ale dla idei której służyła, pojętej praktycznie, choć opartej na najwznioślejszem pojęciu przeznaczeń człowieka. Urodzona w Meissen, w 1819 r., córka uczzonego prawnika, zajmującego też miejsce wysokie w hierarchii swego powołania, otrzymała wychowanie staranne i rozumnie prowadzone, choć bardzo delikatnego organizmu, nie mogła uczyć się systematycznie i regularnie w tych latach właśnie, w których myśl ludzka zaczyna się rozwijać do światła i przez rozszerzającą się wiedzę bierze lot ku górze. Ale kształcenie tak umysłu jak serca nie tylko się opiera na wiadomościach z książek czerpanych, przykłady życia ludzi otaczających dziecko i to, co z ust ich słyszy, stają się wpływem najsilniejszym, a tu był on na szczęście dodatnim i rozbudzającym pragnienie tej wiedzy, która oświecając umysł, pozwala patrzeć na życie z punktu szlachetnie pojętych zadań i celów życia ludzkiego. Nauka historii pociągała do siebie najsilniej dziewczętkę młodą; dzieje Francji, dzieje nasze zajmowały ją szczególnie i ukradkiem zaczęła na tem tle składać rymy, pełne żywości uczucia i wzniosłych w dziecinnej naiwności obrazów.

Wpływ ojca działał tu przeważnie; rozumny i uczciwy otaczał się też rozumem, uczciwem i ludźmi i myśl dziewczątka skierowywała się już o poranku istnienia ku przedmiotom pojęć i uczuć wyższych nad codzienne, poziome zachody życia. Siostra starsza żartowała z niej, zowiąc mółem książkowym, ale ona znosiła to spokojnie, kryjąc się tyl-

ko przed nią z płodami muzy swojej, aż naraz spotkała się z boleścią serca ciężką. Miała lat czternaście, gdy umarła jej ta siostra, gorąco kochana, a w siedemnastym roku życia została sierotą bez ojca i matki, a dwie te śmierci nastąpiły po sobie w przeciągu trzech miesięcy i naraz pozbawiona opieki rodzicielskiej, znalazła się nie tylko sama w ciężkiem położeniu, ale trzecią, o lat parę młodszą siostrą, zająć się musiała.

Na szczęście ciotka, siostra ojca, przysięgnęła do siebie sieroty, trzeba było przecież opuścić dom i miejsce, gdzie się urodziły i wychowały, ale dusze szlachetne umieją mężnie znosić doświadczenia losu i ona też nie upadła na duchu. Otoczyła ją przyroda malowniczo piękna; Elba toczyła srebrne fale swoje, begate winnice na wzgórzach weseliły oko i poetyczna jej natura czerpała z tego źródła rozkosze czyste i wzniosłe, jak ślad tego został w jej pamiętniku, gdzie pisała: „Czar piękności przyrody działa na mnie w sposób nie dający się wyśłowić. Zapominam, że ja jestem sierotą, że droga życia musi być dla mnie ciężką i czuję się bogatą w obec tych skarbów, które są własnością moją w tem, czego nikt zabrać mi nie może“. Znalazła też tutaj bogatą i starannie dobraną bibliotekę a umysł, wiedzy żądny, czerpał z jej zasobów wiadomości nie tylko w zakresie literatury i historii, ale i nauk przyrodniczych. Siostra jej wyszła wkrótce za mąż i wyjechała do Drezna, a wkrótce potem i jej serce uderzyło gorącej. Młody, dorodny, wyższej wiedzy prawnik, adwokat bardzo wzięty, pokochał ją i zyskał wzajemność, wszystko też co może być wróżbą szczęścia kobiety uśmiechało się do niej, gdy nagle śmierć ukochanego okryła ją żałobą. Zdawało się, że nie przeniesie tej straty, ale była młodą, żywotnych sił pełną, więc organizm jej fizyczny przetrwał boleść bez szkody, ale moralna jej istota zamknęła się w sobie: „Już nie pokocham nigdy raz drugi... napisała biedna do siostry, która ją chciała sprowadzić do Drezna, — zostaw mnie też boleści, która nigdy nie ustąpi z mego serca“.

Zamknięta w sobie, ze wspomnieniami boleści jedynie, rzuciła się do pióra, aby praca umysłowa nie pozwoliła jej rozpamiętywać strat poniesionych, ale wpatrzona w życie własne, dla którego nie rozumiała już żadnej przyszłości szczęśliwej, zaczęła wykazywać w powieściach swoich smutne jedynie strony istnienia niewieściego, w które nie umiała biedna wejrzeć głębiej. — „Obecny układ życia wskazuje kobiecie jedną tylko drogę do szczęścia, przez miłość i w miłości — pisała zbolą — coż więc, skoro los wydrze nam to? Gdzie wtenczas się zwrócić, jakim uczynić sobie cel życia? Była to omyłka bardzo ciężka, bo kobieta niemniej jak mężczyzna ma szerokie pole do pracy dla ogółu, ale boleść jej rozdartej piersi wprowadzała ją w błąd. Lecz zwolna zaczęła brać do umysłu i serca, to co jej przedstawiano, a głównie życie samo wykazało jej, że może błędzi, że może się myli? Myśl jej zwróciła się też do praktyczniejszych stron filantropii, wejrziała w smutne istnienie klas pracujących, w ich potrzeby ducha i stała się na tej drodze użyteczną. Jej piosenki ludowe na tle dziejowem zyskały uznanie.

Doszła do przekonania, że można spełniać na drodze prostej cicho i spokojnie dzieła użytku publicznego, a wśród namysłu nad wyborem tu pracy wystąpił jej przed oczy obraz, jak wiele może zdziałać kobieta, pracująca na polu odwiecznej jej wydzielonej działalności. Potrzeba tylko aby wiedziała, jaką drogą tu dążyć, do jakiego dzieła szczególnie rękę przyłożyć i za jej też staraniem, pod jej kierunkiem zawiązały się wyższe wykłady gospodarstwa kobiecego, gdzie zarazem oświecano słuchaczki, jakim obok kobiety matki i żony, jest znaczenie kobiety gospodyni w narodzie. Aby przekonania te rozpowszechnić, urządziła w Lipsku, Dreznie, Düsseldorfie, Frankfurcie, Berlinie konferencje w tym zakresie, zapraszając na nie kobiety niemieckie z celem, aby rozjaśnić im znaczenie obywatelskiej zasługi tej, która mnożąc dobrobyt rodzin, podwyższa dobrobyt kraju, więc materialne i moralne siły jego wzmacnia, a zara-

zem uszczęśliwia jednostki. Bieda to niemoc; kto pragnie i łaknie, musi się też ubiegać o pozyskanie grosza, co często stawia go na pochyłości tej śliskiej, że osunie się nisko i straciwszy równowagę, znajdzie się na padole życia nędznym i smutnym. Ze przecież pracowite zajęcie gospodyni nie poniża bynajmniej w kobiecie polotu myśli, że jej nie przykuwa wyłącznie do spraw niższego porządku w dziedzinie ruchu ludzkości, dowodzi znaczna liczba powieści, obrazków z życia, i rozpraw o wychowaniu, o sztuce, której znaczenie podnosi wysoko. Dzieła jej „Sztuka tegoczesna“, „Misja sztuki i sztukmistrzów“, zostaną na zawsze w literaturze niemieckiej, jak i dzieła: „Prawo kobiety do zarobku“, „Geniusz domu“, „Geniusz ludzkości“, „Geniusz natury“. Obok silnego nacisku co do życia kobiety na łonie rodziny i dla celów rodzinę tę mających na względzie, niemniej żąda ona dla niej od społeczeństwa praw, któreby pozwoliły jej rozwijać wszystkie zdolności swe i obdarowania, nie wykraczając przecież z drogi przeznaczeń życia kobiecego, co spełniać się może prawidłowo, nie przeszkadzając niczemu, a raczej pomagając wszystkiemu przez rozwój sił ducha, przez szerszy pogląd na życie i jego cele.

W r. 1851 wyszła za mąż, za dziennikarza literata, Augusta Petersa.

M. I.

Z teki dekadenta.

I po cóż wciąż kłamać przed ludźmi i sobą?
Wszak chęci do życia mniej mam z każdą dobą,
A więcej z dniem każdym świat zda się niemiły,
I silniej mnie ciągnie ów spokój mogiły,
Gdzie nie się nie pragnie, nie żąda, nie czuje,
Gdzie żadna zgryzota nie męczy, nie truje...

I po cóż udawać ogniste porywy?
Wszak dawno już minął ów wiek mój szczęśliwy,
Gdym wierzył i kochał i marzyć był w stanie,
Że jeszcze zaświta szczęśliwe zaranie,
Że warto się męczyć i walczyć na ziemi,
Że świat się poruszy... chęciami dobremi.

I po cóż udawać, że serce jest we mnie,
Gdy jego uderzeń słuchałbyś daremnie?
Zastygło, zamarło oddawna w mem łonie,
I tętne już żywszem nie biją me skronie
I w żyłach krew żywiej nie krąży oddawna...
Zabawna doprawdy komedia, zabawna!...

I po cóż to wszystko? Nie pragnę niczego,
Spoczynku jedynie, spoczynku wiecznego...
Jam życiem zmęczony! Ha, czy uwierzycie?
Nim życie zacząłem, zmęczyło mnie życie,
Nim setną część pragnień ugasić zdołałem,
Syt jestem wszystkiego i pragnąć przestałem.

A jednak... a jednak ja mogłem być inny,
A jednak wszystkiemu ja jestem sam winny,—
Strwońilem napróżno i zapał i siły—
I zmarszczki przedwcześnie me czoło poryły,
I leżę, jak dębczak przewcześnie strzaskany,
Zostało mi tylko pragnienie... nirwany!

Selkm

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Poseł na sejmie berlińskim z Wielkiego księstwa Poznańskiego, M. Czerliński, przemawiał za zniesieniem kary cielesnej dowodząc, iż nie oddziaływa ona na te szlachetniejsze strony istoty ludzkiej, przez które może jedynie przyjąć poprawa — rozbudzenie uczucia obowiązku, gdy kara zadająca ból fizyczny może działać wyłącznie przez trwogę, więc nie umoralnia, nie usuwa zarodków złego, kiełkujących w dziecku. Angielka poświęcająca się kształceniu dzieci, miss Hill, podniosła również tę kwestję na podstawie tych samych przekonaniach. Wychowanie powinno udoskonalać moralne strony istoty ludzkiej, inaczej wpływ tu działający będzie krótkotrwałym i usamowolnieniem, przychodzące z latami, zastanie człowieka źle przygotowanym do życia.

— Francuzki pedagog, Jan Aicard, odezwał się do matek swego narodu, żądając od nich nie mniejszych starań w rozwijaniu sił dziecka fizycznych, jak moralnych, wykazując potrzebę, aby zdrowe ciało, było siedliskiem zdrowej duszy, bo inaczej bezsilność nie pozwoli człowiekowi spełniać dobrze czynów, które przedstawiają obowiązek. Sprawiedliwość i ten postęp, który daje nam możność kierowania się samoistnego w stronę moralnych naszych ideałów, zawisłe są w znacznej części od siły fizycznej, która pozwala człowiekowi być wytrwałym w pracy, staje mu się zatem bardzo ważną podporą wśród doświadczeń życia, broniąc od bezsilnego osunięcia się w dół. Stare zdanie łacinników: w zdrowym ciele zdrowa dusza, ma za sobą doświadczenie wieków. Dodaje przecież Aicard, że nie należy tu stawiać na pierwszym planie rozwoju sił fizycznych, bo wtedy duchowa strona człowieka cierpi, poddana mocom niższym.

— Nauka higieny została wprowadzoną w Belgii do wszystkich szkół dziewcząt wyższych i niższych, bez czego nie tylko matki same nie potrafią być zdrowymi i przez brak sił nie zdołają spełniać obowiązków swoich, ale i dzieci nie mogą być tak rozumnie wychowywane, aby organizm młody rozwijał się prawidłowo. Z tego względu kursa stosowanej ekonomii domowej, to jest domowego gospodarstwa i kucharstwa, zaprowadzone w mieście Schaeberg, oddają ważne zasługi rodzinom i narodowi, bo oszczędnie i ze świadomością rzeczy obchodzą się tu kobiety z mieniem rodziny i wychowują ludzi zdolnych w życiu do pracy. Ze tak jest, dowodził w tych czasach w Berlinie doktor medycyny z Wisbadenu, Daum, wykazując, że niemoc ciała wpływa i na moralne strony istoty człowieka. „Zwyrodnienie ludzi stało się w całym znaczeniu tego wyrazu chorobą, która uwidocznia się przez mnóstwo objawów, trudnych do zbadania, a dodać należy, że ogarnia ona tak dusze jak ciało, bo motorem czynów człowieka jest ta chęć ruchu, jaka zrodzić się może jedynie w organizmie zdrowym i potrzebującym wyrzucić na zewnątrz energię posiadaną.

— Włoskie czasopismo, poświęcone nauczaniu, „Bolletino uffiziale dell'istruzione“, zamieściło uwagę, że gruntem moralnego kształcenia dziecka jest rozwinięcie w niem pojęcia różnicy między złem a dobrem, sprawiedliwym a niesprawiedliwym. Pojęcie to broni od czynów nagannych ze skutkiem o wiele wyższym niż wtedy, gdy zakaz wychodzi od rodziców lub nauczycieli, bo działa tu przeważnie posłuszeństwo, siła bierna, gdy samodzielne chronienie się przed złem jest już własną akcją młodego ducha i wytwarza ideę obowiązku, więc odpowiedzialności moralnej. Uczucie odpowiedzialności wyrabia z konieczności w każdej istocie ludzkiej świadomość zali jest złą, lub dobrą, za czem idzie nagroda lub kara, co spełnia się najpierw we własnej naszej głębi przez zadowolenie z siebie, lub wyrzuty sumienia, przykre uczucie wstydu nie tylko przed ludźmi. Obowiązek nie istnieje dla żadnej istoty ludzkiej, młodszej lub starszej w formie innej niż przez wykonywanie go własnowolne, bo wtedy jedynie spełnia się akt moralny: poświęcenie pewne

dla idei, co nazywamy cnotą, rozbudzeniem się w człowieku poczucia powinności—sumienia.

— Angielka, Mrs Egger, podniosła w tygodniku „The Queen“ kwestję obowiązków człowieka względem samego siebie. Obowiązek ten, odnoszący się do jego własnej istoty, jest nie mniejszym od obowiązku względem bliźnich i to pod wielu względami. Edukacja fizyczna, intelektualna i moralna wkłada na nas trzy gatunki obowiązków do spełnienia. Spencer, myśliciel rozumny i szlachetny, nakazuje nam „moralność fizyczną“, co znaczy staranie o zdrowie, o siły własne. Człowiek został stworzonym do pewnych celów, zadań życiowych i ten który ich nie wykonywa, rozmija się z przeznaczeniem swoim, nie odpowiada więc prawom, które nim rządzą, nie spełnia prac, do których jest obowiązany, więc staje się ciężarem dla bliźnich swoich. Nie mniejszym obowiązkiem jest rozwijanie w sobie woli mocnej i inteligencji. Zdolności nasze są siłami, których nie wolno nam lekceważyć, bo wtedy szkodząc sobie, szkodzimy i ogółowi przez odjęcie mu tego, co obowiązkiem naszym było przyłożyć do ogólnej skarbnicy zasobów ludzkości. Obok tego dzieci biorą w spuściznę po rodzicach cnoty ich lub wady, siłę lub niemoc; jest zaraza fizyczna, jest i zaraza moralna, która źle oddziaływa na ludzkość, a że człowiek został stworzonym do życia w społeczeństwie, zatem obowiązkiem jego jest przystosowywać się do potrzeb ogółu i każdy z pośród nas słysząc powinien w sumieniu swoim głos, wołający: „Bądź uczciwym, bądź sprawiedliwym, abyś nie czynił ludziom źle, lecz dobrze.“

— Szkolne kasy oszczędności mnożą się we Francji i na ostatnim zebraniu ich członków w Paryżu przemawiał inspektor Flotard, wykazując znaczenie tej instytucji, jej korzyści, bo korzyści oszczędności w życiu człowieka, przedstawiając jak umoralnia ona i podnosi nieraz godność jego osobistą, pozwalając mu żyć owocami pracy jego własnej. Kasy te powstały w tym kraju w 1831 r., wkrótce potem zorganizowano je w Anglii: „School Penny-Bank“, następnie w 1844 r. we Włoszech, w Belgii, w Szwajcarii, w Niemczech. W Szwajcarii przecież zaczynają się podnosić głosy, że jakkolwiek oszczędność znaczy wiele w życiu człowieka, bo nie tylko broni go od nędzy, ale bardzo często od upadku moralnego, który nędza ta sprowadza, niemniej przedstawianie zawczesne umysłowi dziecka korzyści, jakie daje zasobność pieniężna może demoralizować przez rozbudzenie chciwości grosza. W Genewie ruch w tym kierunku przybiera szersze znaczenie i przypuścić można, że szkolne kasy oszczędności zostaną zamknięte.

TRZY CHWILE

NOVELLA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

W mgłę śnieżnej zarysowały się pierwsze chaty w Jagodnej. Milord w podskokach popędził naprzód. P. Władysław, otulając Kicię od natarczego wiatru, który ją nie ledwie w górę unosił, koło krzyża kędy droga rozbiegała się na trzy strony, przystanął.

— Panna Kicia się zmęczyła?... — szepnął tklawie. Odpocznijmy! Z trudnością przychodzi nam walczyć z wiehrem, nieprawdaż?

Kicia, uśmiechnęła się wesoło.

— Istny Bora—odparła.

P. Władysław, troskliwie szyję dziewczęcia bobrowym kołnierzykiem otulił.

— Lękam się, że pani przeziębi gardło...—rzekł.— Jak można było w taką niepogodę, wychodzić z domu? Chłód na wskroś przenika, a blizkie sąsiedztwo rzeki powiększa go jeszcze. Doprawdy, lękam się.

W głosie jego dzwiała nótą tliłości serdecznej, w oczach miał wyraz niepokoju. Kicia operlone śniegiem rzesy podniosła nieśmiało. Słicznie na zarumienionej od wiatru i zmęczenia twarzy, szare, duże jej oczęta błyszczały.

— Nie czuję zimna, — szepnęła patrząc wdzięcznie na Władysława. — Czy Warta bardzo wylała? Jagodna jest w tem szczęśliwym położeniu, że chociaż rzeka gdzieindziej kaprysi, nas pozostawia w spokoju.

— Dotąd jest wszędzie dość łaskawa — odparł. — Pod Gąsinem jedynie przeprawa była ciężką. Konie moje brodziły po pas w wodzie... Straciłem nadzieję przepędzenia świąt w Jagodnej...

Kicia drgnęła.

— Czy tak? Więc było istotnie niebezpieczeństwo? Ach jaki pan niedobry! — zawołała z żywością i niepokojem, którego ukryć nie mogła. — Pod Gąsinem, w czasie roztopów zawsze bywają wypadki i dla tego przekonywałam oczulka, że pan na święta nie przyjeździe. Jak można tak igrać z jednym z najniebezpieczniejszych żywiołów?

P. Władysław pochylił się ku niej i w oczy zajrzał.

— Są rzeczy niebezpieczniejsze panno Kiciu! — szepnęła znacząco. — Czy pani obawiała się istotnie? Jakżem szczęśliwy!

Kicia przygryzła wargę. Chwilę była zmieszana, lecz szczerą jej naturą udawać nie była zdolną.

— Oczywiście — odparła rezolutnie. — Nie należy nigdy narażać życia dla zadowolenia jakiejś zachcianki...

— Panna Kicia pamięta przysłowie?: Nie ma złej drogi... — zażartował P. Władysław przyciskając do piersi rączkę — Kici. Był wzruszony i miał przytem wyraz tryumfu w oczach, który rumieniec na twarz Kici sprowadził. Czula, że się zdradziła i nierada była z siebie. — pójdźmy już! — szepnęła. — Mama się pewno niepokoi...

P. Władysław atoli, o świecie całym zapomniał. Wciąż pochylony w oczy Kici patrzył, a biedaczce, serduszek trzepotał się trwożliwie. Jak on ją kocha! Te dumne, a razem słodkie oczęta, odkryły mu cały świat rozkoszy nieznanych dotąd i życie nabrało dlań ceny podwójnej... Stał się niewolnikiem miłej dziewczynki, która, różane pęta narzucała na jego wolę, na zimny ostrzegawczy głos rozsądku górujący dotąd nad sercem i przy niej, nie czuł leku jaki ogarniał go zwykle, gdy kobieta młoda i piękna zjawiała się przy jego boku. Kicia, opanowała go bezwiednie. Istna czarodziejka! Mógł by teraz szydzić z samego siebie, on, dotąd niezdobyty, obojętny na wdzięki i uśmiechy kobiet.

Z Kicią, znają się od dawna. Istnieje nawet jakieś połączenie rodzinne, które zbyt ścisłą etykietę w stosunku tych dwojga wyklucza. P. Władysław jest pewny, że już przed laty kilkunastu, gdy młodej jeszcze dziewczynce, opowiadał zajmujące bajki o kopeiuszku i zaczarowanej królewnie, serca ich związane były z sobą. Szare oczęta Kici wpatrywały się wtedy z podziwem i zachwytem, w młodego gimnazystę w mundurze i nikt zabawić jej tak nie potrafił, do nikogo tyle zaufania nie czula. W wyobraźni dziecięcej, stroiła go w szaty niezwykłe, a od kiedy raz w jej obecności odebrał rozkapryszoną rzece małą dziewczynkę sołtysa z Jagodnej, która, z pewnością była by utonęła, gdyby nie jego odwaga i przytomność umysłu, Kicia, wprost zaczęła go uwielbiać.

P. Władysław, czy to na święta, czy na wakacje, przyjeżdżał zwykle do Jagodnej. Sierotą był i p. Niemierzycki opiekował się nim, jak gdyby mu synem był rodzonym. Stosunek, ten, na zobopólnej sympatii i przywiązaniu oparty, zacieśniał się więcej jeszcze, gdy po powrocie z uniwersytetu Władysław, w Cieszyńskie sasiadującym z Jagodną, zamieszkał. Tymczasem i Kicia na śliczną pannę wyrosła. Oczywiście młodzi, zaczęli nieco stronić od siebie i dawną poufałość zastąpiło uczucie wstydlivosti, onieśmienia ze strony Kici, powagi, ze strony p. Władysława. Nie chcąc jej kępować zobowiązaniem zbyt wcześnie, gdy może ona sama z uczuć swoich sprawi by sobie zdać nie mogła, nie zdradził się dotąd i tylko obserwował z daleka, chłodny z pozoru, umyślnie usuwając się na stronę, gdy młodzi na zabawach otaczała tłumnie piękną Kicię. Bo że piękną była, tego by jej, nikt nie mógł zaprzeczyć. Piękność ta leżała w dziwnym oroku kwiatu leśnego,

który po wielokroć uwielbiany, bywa chętniej, niżeli najpyszniejsze ciepłarniane okazy. Te budzą podziw i zachwyt chwilowy; fiołek leśny w mechu zielonym ukryty, nęci dziewczycę przeczystą, wonią jakąś subtelną, subtelnym wypieknieniem, mimo prostoty. Kicia, podobna była do leśnego fiołka. Wychowana w wiejskim dworku, pod okiem matki, aż do zbytku troskliwej i ze wszech miar rozsądnego ojca, w swoich siedemnastu latach, niewinna była jak dziecko. Obce jej były kokieteryjne uśmiechy, zalotne spojrzenia, słowem, wielorakie środki i środki jakieś młode panny chętnie posługiwać się lubią. Żywa jak iskra, z figlarnymi dołcockami, które uśmiech weseli formował co chwila na okrągłej, różowej twarzy, z sercem współczującym dla cierpiących, a kieszonką zawsze dla ubogich otwartą, z umysłem bystrym, którego nie karmiono zgubnymi terazniejszej modnej filozofii dociekaniami, Kicia, była i dostatecznie wykształconą i dostatecznie do życia zahartowaną. Matka, strzegła od zbyt wczesnej wrażliwości i wydelikacenia, ciało ojciec urabiał wolę silną i hart ducha.

— Udała nam się dziewczyna, co? — śmiał się do Władysława zadowolony, gdy tenże po powrocie z uniwersytetu, przyjechał po raz pierwszy do Jagodnej. — Niepodobna ani trochę do modnych salonowych lalek; prawdziwa wiejska, polska nasza dziewczyna...

Władysław rozpromienione oczy zwrócił na mówiącego.

— Typ kokietki, jakich, oby jak najwięcej było! — rzekł z przekonaniem głębokim.

I zaraz wtedy uczuł, że to, co od najwcześniejszej młodości kielkowało niewyraźnie w jego sercu, dojrzało teraz uczuciem wielkiej i trwałej miłości. Czy miał zamiar podczas tych świąt właśnie, pod jednym dachem z Kicią spędzonych, wypowiedzieć jej swoje uczucia?... sam nie wiedział.

Zależało to od chwili uniesienia jakiegoś, od małego „nie“ może od żywszego błysku jej oczu, od zdradliwego rumieńca, który zjawia się nieproszony i wiele domyslać się pozwala. Cóż on winien, że śnieg i wichur zmusił go do zatrzymania Kici przy krzyżu na rozstajnych drogach, że musiał od zimna zdrętwiałej jej paluszki pocałunkami rozgrzewać, że ona rumieniła się tak słicznie i dziwnie słodkie, a wystraszone miała oczęta? Nic, tylko sarenka spłoszona, albo małe kociątko, gdy go od matki zabiorą.

— Pójdźmy! — szeptała co chwila i nie chciała już patrzeć na p. Władysława, tylko rwała się pod skrzydła matczyne, onieśmiona gorącymi spojrzeniami i delikatną jego pieczęcią.

I on powtarzał za nią: pójdźmy już, pójdźmy! — Ale się z miejsca nie ruszał i wciąż na Kicię patrzył. Wtem gwałtowny powiew wiatru przeleciał koło krzyża, zatrzęsł starą gruszą, która go podpierała, dumna z towarzystwa dwóch świerków i sosen, popędził przed sobą tuman śniegowy, zasypując małym śniegiem twarz stojących i z piersi Kici wywołując lekki wykrzyk przestachu. Tego już było za wiele! Niepodobna przecie, aby w takiej nieprzyjemnej chwili, nie pośpieszyć z pomocą. Więc nie namyslał się ani minuty, p. Władysław, mocnem ramieniem otoczył kibić dziewczęcia i przytulił do piersi.

— Muszę zasłonić przed burzą małe kociątko — szeptał tliwie, — Gotów mi wichur unieść gdzie w obłoki?... — Pamięta panna Kicia? Jużem nieraz chronił panią od rozmaitych niebezpieczeństw, gdyśmy odbywali wycieczki w celu zbadania koryta Warty, odkrycia nowej jakiej wyspy lub jaru, w którym soczyste i olbrzymie jerzyny rosły. I głogu czerwonego była obfitość... Kociątko kłóło sobie zwykle paluszki?... Pamiętam, że bardzo zżęcznie wymowałem ostre igiełki...

Po co on to wszystko mówi i przypomina?... Po co ją do siebie tuli, kiedy ona, Kicia, nie lęka się już ani wichru, który szaleje w polu, ani tumanu śnieżnego i zimna nie czuje wcale... Ją ogrzewa jakieś ciepło serdeczne, brzask uczucia budzącego młode serce do życia, pełnego słodkich nadziei i marzeń cudnych, ogrzewa gorący promień oczu p. Władysława, które tak wymownie na nią patrzy! Nie wie dobrze co się z nią dzieje, pamięta atoli, że mateczka, gdyby widziała jak p. Władysław ochrania ją od wichru i chłodu, tuląc w objęciu, gniewała by się z pewnością... Czyż ona zresztą jest malut-

ką Kicią i sama, nie potrafi oprzeć się szalejącemu wichrowi odważnie? Gniewać ją to zaczyna, więc zżęcznie próbuje oswobodzić się z jego uścisku. P. Władysław jednak, w szarych oczętach Kici, nauczył się już czytać doskonale. A że taka jak obecna chwila prędzej czy później nadejść musiała, więc: Kocham cię, Kocham gorąco Kiciu!... szepnął jej w zaczerwienione od zimna uszko i był bardzo, bardzo wzruszony. A Kicia? Kicia, przymknęła oczęta by ją blaskiem szczęścia wielkiego, który się w nich rozpałił — nie zdradziły.

Gdy w lesie przez zwarte w górze gałęzie niebotycznych sosen, buków, dębów i klonów, przedrze się promyk słoneczny i muśnie delikatnie białe dzwoneczki konwalij i liljowe pączki fiołków, które wraz pod pieczęcią jego się rozwijają, tak i w duszę Kici wpadło nagle światło jasne i uczuła się ośnioną.

P. Władysław, pragnął jednakże, odpowiedź jej usłyszeć. Nie dla tego by wątpił, lecz dobrowolne wyznaczenie wyszeptane przez te słodkie usteczka miało by dla niego czar niewysłowny. Więc nalegał, ona wciąż milczała. Nie pomogły prośby i błagania. Jak uparte, rozpieszczone dziecko twarz na jego piersiach ukryła, cała drżąca, onieśmiona, on, teraz już z tliwością niemal ojcowską tulił ją i delikatnie, wymykając się z pod bobrowej czapeczki ciemne kędziorki, całował... A śnieżycza szalała w około nich, zasłaniała oczy, wiatr tamował oddech... Czyż oni to czuli? Rajska pogoda mieli w duszy!

Nazajutrz o wczesnej godzinie, okno na pierwszym piętrze otworzyło się i jak dnia poprzedniego wychyliła się zeń główka Kici.

Milord, przeciagnął się leniwie i wraz potem mądre ślepie podniósł do góry. Snadź postrzegł tam coś, co go rozradowało szczególnie, bo kilkakrotnie uderzył w ziemię ogonem i zamruczał. Pani jego, miała dziś twarz uśmiechem słonecznym rozjaśnioną i bardzo wesołe oczęta!

— Pogoda, pogoda! Słońce! — wołała klaskając w ręce. Jakie szczęście! — Miała rację upierać się wczoraj stara Łukaszowa, że w sobotę, zawsze choć na chwilę słońce zaświeci musi. Jakże-by? Matka Boska przecie bieliznę Dzieciątka Swego prała i słońce by jej nie wysuszyło? Zapewne! Tylko między ludźmi są już takie paskudne niedowiadki co się ze wszystkiego śmieją, ale ona, Łukaszowa, mówi panience prawdę i panienka może jej wierzyć. Ile to już ona sobót w życiu przeżyła, a zawsze choć na chwilę słonko zabłysło...

Oczywiście Kicia się przekonała, że staruszka miała rację, bo oto po dniach wielu niepogody i figlów isticie marcowych, wichur wczorajszy wszystkie chmury odpędził daleko, niebo się oczyściło, śnieg topniał prawie w oczach i słońce się uśmiechało prawdziwie wiosenne. Kicia jest pewną, że gdy w południe pojedzie do parafjalnego kościółka zobaczyć czy ładnie na Rezurekcyę przybrany, w polu skowronki piosenką ją powitają i może trawka zielona, gdzie nie gdzie chociaż się pokaże, bo jakże by to Wielkanoc była, gdy na ziemi płatki śniegu leżą?...

P. Władysław, wczoraj właśnie przy kolacyi mówił... P. Władysław? Rumieniec oblał jej twarz... Musiała ręką przycisnąć serce, tak mocno zabiło!... Co to się z nią stało wczoraj? Ach, wczoraj, była taka zmęczona, odurzona wrażeniami, zżębnęta, więc położywszy się, usnęła odrazu; wprawdzie zasypiając, słyszała jeszcze dźwięk głosu P. Władysława i z szeptem Kocham, Kocham na ustach zasnęła, ale taka już śpiocha jest ogromna, że przyłożywszy głowę do poduszki, wraz zasypia. Oczywiście czuje sama ze wstydem, że bohaterki powieściowe, o których dotąd czytała, postąpiły by wcale inaczej... Noc całą przemarzyły by z pewnością u okna, zapatrzone w gwiazdy, wyłączenie myśli o ukochanym oddane, coż, kiedy ona, Kicia, ma jakąś dziwnie pospolitą naturę!... Noc przespiała spokojnie i teraz oto zbudziwszy się, narzucała szlafroczek ranny i do okna pobięła... Ucieszona słońcem pomyślała o P. Władysławie. Więc on ją kocha? I to nie sen, nie przywidzenie żadne, ale cudna, rozkoszna rzeczywistość! Złożyła dłonie i goręcej niż zwykle poranny pocierz odmówiła. W pół godziny potem, już ubrana, zbiegła na dół by rodzicom dnia dobrego życzyć, lecz — o dziwo — w pokoju jadającym stał P. Władysław, z nadzwyczaj-

czajną starannością układając prześliczne fiołki, których koszt cały nie wiadomo z kąd zdobył. Kicia, cała w rumieńcach, ze zwykłą sobie żywością poskoczyła ku niemu.

— Fiołki?—woła—Ach jakie śliczne!

Wtem milknie, bo ciemne oczy P. Władysława, patrzą na nią weale inaczej, niżeli dawniej... Jest w nich głębia uczucia i—Kicia się przecież nie myli—ale oczy P. Władysława mówią o zachwycie bezmiernym i szczęściu jakie mu widok jej sprawia!... To ją wprowadza w kłopot, więc ciemnymi rzęsami nakryła pełne blasku oczy, a twarzyczka stała się purpurową.

W pokoju jadalnym nie ma jeszcze nikogo, P. Władysław kazał się Ludwikowi obudzić, skoro tylko z Cieszyna ogrodnik fiołki przywiezie... I o to, dlaczego Kicia zastała go tutaj... P. Władysław, po raz setny może całując paluszki dziewczęcia, głosem na pozór spokojnym opowiadał, lecz Kicia widziała, że bardzo jest wzruszony.

— Czy dziś mogę powiedzieć mamie i ojczulkowi? — spytał wreszcie, zmusiwszy ją by na niego spojrziała.—Czy mogę poprosić o moją Kicię?

Tak jak wczoraj, nie chciała mu odpowiedzieć. Podjęła ze stołu bukiet fiołków i ukryła w kwiatkach rozpaloną twarzyczkę. Ach te rumieńce! Toż gdyby nie one, prędzej by się z pewnością na odpowiedź zdobyła. Bronka, jak bomba wpadła do pokoju.

— Panienczko!—woła—Panienska kazała sobie oznajmić, gdy tylko baby ze święconem przyjdą... Już cały klomb obsiadły...

Kicia, wnet odzyskała swobodę.

— Przyjdę tam zaraz... — rzekła. — Wie pan? — zwróciła się do Władysława — jakim ja wdzięczna ojczulkowi, że nie mieszkamy w mieście. Na wsi staranniej przechowują się, stare zwyczaje i przywiązują do tradycji. Dla mnie, święta, spędzone w Jagodnej, ze wszystkimi choćby najdrobniejszymi szczegółami i szczegółikami z przeszłości, których wbrew modzie burzącej wszystko co stare, bronie, są źródłem rozmaitych, nieklamanych rozkoszy i uciech. Może pan pójdzie zemną obejrzeć święcone naszych gospodyń wiejskich, zanim ks. proboszcz poświęci je przyjedzie?

— Przypuszczam, że obecność moja nie sprawiła by im osobliwszej przyjemności—odparł wesoło. — Nie mógł bym nawet zdobyć się na komplement, bo nie a nie na urodzie babek i placków się nie znam...

— To prawda!—potwierdziła z uśmiechem.—Ale ja muszę iść... Obraziły by się śmiertelnie, gdyby moje krytyczne oko, nie złustrowało ich świątecznych przysmaków. Zdanie moje w tym razie jest dla nich wyrocznią... Ale co pan będzie robił?

— Będę się bawił fiołkami, myśląc o jednym, najpiękniejszym... — szepnął żartobliwie P. Władysław.

— I ułożysz pan dla mnie bukiet, który zawieziemy do kościoła? — zawołała patrząc na niego już ośmielona,—powiozę pana moimi karymi kucami...

— Choćby na koniec świata panno Kiciu—odparł z przejęciem.

Wybiegła. Istotnie, widok jaki się jej oczom przedstawił, posiadał wdzięk malowniczy i prostoty pełen. Obyczajem zdawną w Jagodzińskim dworze przyjętym, obrzymi klomb na gazonie przede dworem rzucony, obsiadły kobiety i dziewczęta wiejskie, a każda z nich, na śnieżno-białym obrusie ułożyła babkę, placek, krążek kiełbasy, malowane jajka, krajankę sera i masła świeżego osetkę. Zamożniejsze, miały szynkę lub pieczonego prosiaka, a sadziły się jedna przed drugą i nie żałowały pracy i zachodu, byle się z czem popisać miały. Gdy Kicia ukazała się na ganku zewsząd podniósł się gwar i gosposie zapraszać ją do siebie zaczęły.

— Do mnie panienczko złota—wołała Marynka Sobkowiczowa, która pierwsze święta dopiero obchodziła „na swoim.“ Com ja się z temi plackami nabiedowała o jej!... Ani by panienska nie uwierzyła...

Kicia, z poważną miną obejrzała placki, zganiła że za mało wyrosły, jednocześnie wszakże uszczęśliwiła młodą gosposię zapewnieniem, że o ile się jej zdaje, zakalec nie mają, a pisanki na jajach weale ładnie zrobione i ogromnych rozmiarów róża strojająca białą miseczkę z masłem okazała się prezentuje.

Panienska mają rację — szepnęła zadowolona ko-

bietka.—Z godzinę-m, a to ona różę musztrowała, ale galanta jest, to i nie żał czasu człowiekowi. Zawsze to z masła kwiatuszek taki zrobić, nie byle która potrafi...

Kicia tymczasem, czyniąc uwagi, lub gustu w ułożeniu odpowiednim przedmiotu dodając, wesoła i uśmiechnięta krążyła w około nie postrzegłszy nawet stojącego w ganku ojca z p. Władysławem, który, nie zdejmował z niej rozpromienionego spojrzenia.

— To, o czem marzyłem—myślał patrząc na Kicię — oblekło się w szatę rzeczywistości, stokroć piękniejszą niż marzenie... Skarb znalazłem! Nie chcąc zwlekać, poprosił p. Niemierzyckiego o chwilę rozmowy i poszli dalej w ogród.

Dzień ten, zbiegł Kici jak jedna chwilka. Widziała koło siebie twarze zadowolone, uśmiechem szczęścia rozpromienione oblicze matki i spokój błogi na czole ojca.

Rozkochany wzrok p. Władysława, gonił ją wszędzie, a gdy ks. proboszcz, dzieląc się z nią jajkiem święconem, mrugnął w jego stronę znacząco i wyraził nadzieję, że na rok przyszedł Kicia, z pewnością już u siebie święcone urządzać będzie, to mimo rumieńca, który zjawił się oczywiście nieproszony, serce zabiło jej uczuciem bezmiernego szczęścia i szare piękne oczy bezwiednie w stronę p. Władysława się zwróciły. Jakże jej był wdzięczny! Z rozkoszą, bytby ukląkł przed nią w tej chwili i dziękował bez końca.

Na Rezurekcyi, siedzieli tuż przy sobie w koltarskiej ławce przed ołtarzem i prawie z jednej książki się modlili.

„Wesoły nam dzień dziś nastał.

Alleluja, Alleluja!...

Spiewała Kicia głosem donośnym i czystym, z przepełnionego serca radością i szczęściem. P. Władysław, już nie filozofował i w tym małym kościółku wiejskim, obok ukochanej dziewczyny, zapomniał o nowoczesnym prądzie, który uczył go w nie nie wierzyć, zakpił z filozofów i kornie gnać kolano ugiął i myśl hardą w obec tej potęgi Najwyższej ku której teraz płynęło głosów tysiące z nadzieją, ufnością i miłością bez granic!

Wracali do domu świeżym, pogodnym rankiem, w małym wolanciku Kici, która powoziła sama ulubionymi kucami, bo ks. proboszcz zajął jej miejsce w karecie rodziców. Staruszek już mszę swoją odprawił i jak to zwykle każdego roku bywało, zabierał się z koltatorami na święcone do dworu.

P. Władysław, błogosławił go za to, lecz i Kicia nie mniej była rada. Gdy karetę skręciła już w ulicę wioski, Kicia zawróciła w bok nagle i uboczną drogą jak wicher pognęła w pole. Obiecała przecież babusi—sierocie, jakim święconem się z nią podzielić. Koszyk napełniony po brzegi, Bronka zawczasu pod koziółkiem umieściła.

P. Władysław, nie sprzeciwiał się niczemu. Patrząc jeno w śliczną twarzyczkę narzeczonej, słuchał jej szezebiotu i ręce całował...—całował, aż się kuce niecierpliwiły bo im nie równo i zbyt często pociągano lejce.

Wieczorem dnia tego, konny posłaniec przywiózł P. Władysławowi depesze. Niby grom z jasnego nieba, uderzyła wszystkich, wiadomość nagła, nie spodziewana!... P. Władysław, musiał odjechać, daleko, bardzo daleko i to zaraz natychmiast!... A czy powróci kiedykolwiek?... Któż mógł przewidzieć?... Śmiertelnie blada Kicia, ugodzona ciosem tym nagle straciła przytomność... Bezsilną, zemdloną, ujął Władysław w objęcia, ucałował blade usta raz pierwszy i ostatni i gdy Kicia w pół godziny potem otworzyła oczy, już go nie było przy niej. Straciła go na zawsze, na zawsze!...

Ból bywa czasem tak wielki, że go się nie czuje, bo kto go doświadczy—kamienieje. Coś podobnego stało się z Kicią. Mijały dni, tygodnie, miesiące i lata, ona, spokojna niby wciąż oczekiwała tego, który powrócić nie miał już nigdy!

* * *

Czas ucieka. Czy go kto we łzach spędza, czy w radości, mknie szybko naprzód do kresu wspólnego wszystkim,—nieuniknionego!

I wiele rzeczy w tym pochodzie zmienia... O wiele! Melodyjne tony kadryla, rozbrzmiewały pełnym, wzywającym do tańca dźwiękiem. W olbrzymiej sali balowej, powstał gwar... Młodzież przedstawiała się damom, szykowały się pary, blask kinietów oślepił zarówno, jak blask brylantów, lub spojrzenia pięknych oczu, zebranych kobiet.

Kilka dam poważnych, zbitych w gromadkę, radziło nad czemś z zajęciem. Między nimi była gospodyni domu, żona bogatego obywatela, przybyła z córkami na karnawał do Warszawy. Pragnienie posiadania w swoich salonach co było w mieście prawdziwie arystokratycznego, lub czemkolwiek wybijającego się ponad pospolicą, z manii, przerodziło się prawie u niej w namiętność. Jakich ona sposobów nie używała, byle dopiąć swego, ściągnąć czy gwiazdę jaką zagraniczną a modną, lub niechby nawet zaszarganego długami i wątpliwą opinią hrabiego, czy księcia. W sąsiednim salonie, zda się obcy zupełnie temu, co się w około niego działo, siedział nie pierwszej już młodości mężczyzna i ku niemu to, kierowały się właśnie spojrzenia niespokojne gospodyni domu.

— Jestem pewną — mówiła zaaferowana — że p. Bolima lada chwila ucieknie i stanie się to niewątpliwie, przed przyjazdem hrabiny Emilii, która zwykle zjawia się o północy. Była by nim z pewnością oczarowana. Co robić, co robić? Al otóż i Wierzejsy! — zawołała nagle i posunęła się ku środkowi salonu, witając uprzejmie i serdecznie młodą kobietę, która, z nieopisanym wdziękiem pochylała się jej do ramienia.—Jakże mi się miewasz stokrotko? pytała — krytycznym okiem obejmując postać przybyłej. Poprowadziła ją dalej, ożywna, prawie dumna z wrażenia jakie wywarła na wszystkich, istotnie piękna, a dotąd nikomu jeszcze nieznaną, pani Wierzejska, daleka jej kuzynka i sąsiadka. — Straciłam już nadzieję zobaczenia cię w Warszawie, Kiciu...—opowiadała z przejęciem,—Sezon zabaw od dwóch tygodni rozpoczęty... Matka twoja, w ostatnim liście ubolewała, że tak trudno nakłonić cię było do wyjazdu?...

Młoda kobieta wzruszyła lekka ramionami.

— Istotnie—odparła dziwnie słodkim, ale nie-dbałym głosem.—Gdyby nie wyraźne żądanie Ignasia, z przyjemnością byłabym pozostała w domu. Cóż obecny karnawał dodać może do wspomnień, jakie z ubiegłych wyniosłam?

Leciuchne westchnienie poruszyło przytem drapeże białych koronek i atłasu. Zadrżały nieznacznie świeże, wonne naczypy przy staniku upięte!

— Ach, niepoprawna!—zaśmiała się pani domu i odbiegła, bo właśnie lokaj nazwisko głośniejsze w świecie arystokratycznym brzmiało—wymówił.

Kicia rozejrzała się po sali. Duże, szare jej oczy, obojętnie ślizgały się po rozbawionym tłumie, obojętnie kształtna jej głowa z białymi naczypami drżącymi w ciemnych splotach, pochylała się, odwzajemniając ukłony przedstawiających się jej mężczyzn. Jakże się zmieniła! Sześć lat upłynęło od owych świąt Wielkanocnych w Jagodnej; młodzianka dziewczyna, figlarna, wesoła, której ponsowe wargi drżały zawsze uśmiechem, dziś, była kobietą powagi i dystynkcyi pełną, o wdzięku szlachetnym, uśmiechu smętnym, bezwiednie zniewalającym wszystkie serca.

Piękność jej rozwinęła się wspaniale. Nie utraciła nic z owego uroku leśnego kwiatu, mimo to, że budziła jawny i prawie jednogłówny zachwyt, gdzie się tylko pokazała. Co ją to obchodziło? Czy hołdy mężczyzn, lub zabawy i wycieczki zagranicę, wyrażała z jej pamięci przeszłość? Pragnęła pozostać samotną na zawsze, lecz prośba umierającego ojca, któremu się zdawało, że przy obowiązkach żony i matki, ukochana jego Kicia, prędzej o bólu swoim zapomnieć potrafi, skłoniła ją do przyjęcia p. Ignacego Wierzejskiego. Uczucie nie grało tu żadnej roli u stron obu. On, potrzebował żony pięknej i bogatej, którąby się mógł pochłubić, ona, spełniała obowiązek córki. Po za tem, nie łączyła ich ani wspólność myśli, ani też nie wymagali od siebie jakichś sentymentów nadzwyczajnych. Może gdyby p. Ignacy mniej rachował, a starał się natomiast o poznanie moralnej wartości swej żony, gorące serce Kici byłoby mu się oddało... Cios jaki w nią uderzył, miał już za sobą nie mały przeciąg czasu i otrzymała go wówczas, gdy rany serca młodość zbliżnia łatwiej...

P. Ignacy, nie myślał jednak konkurować o miłość swojej żony, bo mu wystarczyło, że ją posiada, a z nią Jagodną z folwarkami, która granicząc z jego posiadłością, nie miała sprawiała mu zawsze oskome. Kicia, w stosunku do męża była taka, jak dla wszystkich: słodką, uległą ale skrytą i w sobie zamkniętą.

Wycieczki do Jagodnej, gdzie mieszkała matka, żywe zajęcia ubogiemi we wsi, książki, muzyka, kwiaty, które pielęgnowała ze szczególnym zamiłowaniem, to był jej świat cały! Towarzysząc mężowi na zabawy lub zagraniczne wycieczki, spełniała tylko jego wolę, wzdychając do ciszy swego dworu wiejskiego, do widoku rozległych pól, zajęć i nawiązań. Smutek swój nosiła cicho, nie skarżąc się nigdy nawet przed matką i nie wspominając imienia tego, o którym pamięć zachowała wierną.

— Jedziemy do Warszawy na karnawał Kiciu — rzekł dnia pewnego p. Ignacy i pojechali.

Sezon zabaw karnawałowych rozpoczęli dziś właśnie od balu u kuzynki, która, była wprost zachwyconą, mając w swoim salonie piękną i dystyngowaną Kicię. Pewną prawie była, że niezwykły Bolima, łatwiej teraz do pozostania dłużej da się nakłonić.

Rozpoczęto kadryla. Kicia, zajęta bransoletą, której ogniwo zaczepiło się o koronkę od stanika, nie zwróciła uwagi na swoje vis à vis kontredansowe. P. Bolima był jej wprawdzie przedstawionym, ale przyjęła to obojętnie.

Po upływie kilkunastu minut dopiero, błysk zaciekawienia odbił się w jej szarych oczach, które chwilowo szmaragdowym połyskiem zabłyśły.

Wytworny, dobiegający czterdziestki mężczyzna, wlepił w nią badawcze, czarnych głębokich oczu spojrzenie. Lekkie drżenie poruszyło wargę pod czarnym, bujnym wąsem, twarz arystokratycznie blada, o ton jeden więcej pobladła. We wzroku jego tkwiła dziwna siła, która zmusiła Kicię, że spojrzała na niego. Delikatna łuna rumieńca zabarwiła szlachetnie wyrzeźbione jej rysy. Jednocześnie lekki mars czoła sfałdował i zwróciła się do swego tancerza, obojętna już, nie uważając prawie, że mężczyzna ów, wyróżniał się niesłychanie z otaczającego ich tłumu fraków i głów ufryzowanych. Nie był pięknym, ale innym niż wszyscy. Kształtny, wysoki, z głową osadzoną dumnie, z dziwnie nakazującą postawą, posuwał się w tańcu nie dbając choć nie bez wdzięku, nie ukrywając bynajmniej, że tańczy przez grzeczność jedynie, nie mogąc odmówić córce gospodyni domu, która, narzucała mu się prawie sama. W drugiej figurze, czy umyślnie, czy istotnie rzadko i niechętnie tańcząc, zapomniawszy, pomylił się... Długi tren tańczącej z nim panny, opłatał mu nogi, a gdy je oswobodził wreszcie, inni przetańczyli już swoją kolej i znalazł się na środku salonu sam, w sytuacji wcale nieprzyjemnej, nie wiedząc na razie, co począć z sobą. Kicia, postrzegłszy ironiczne uśmiechy i szepty do koła, ze zwykłą popędliwością swego dobrego serca, rozpoczęła figurę „pas“ powtórnie i nader zręcz nie wyswobodziła p. Bolimę. Po za tem nie podarowała mu już ani jednego spojrzenia.

P. Bolima, po ukończonym kontredansie, zamiast ukryć się jak poprzednio w innym salonie, pozostał w gronie tańczących. Bystry wzrok jego, ścigał bezustannie Kicię, porywaną przez coraz to nowego tancerza, zawsze atoli chłodną i nie okazującą bynajmniej, że ogólne hołdy lub taniec, sprawiają jej przyjemność.

— Jakże ci się mój bal podoba? — pytała gospodyni domu uszczęśliwiona, że jej to kuzynka właśnie, zakasowała Warszawianki i odebrała im królewskie berło.

— Bardzo zajmujący!... — odpowiedziała Kicia, kryjąc pod wachlarzem uśmiech.

— A pan Zdzisław Bolima? Musisz przyznać, że wyróżniająco wygląda. Wyobraź sobie, ledwo go uprosiłam i dotąd z podziwienia wyjść nie mogę, że przybył raczył. Dziwak, fantastyk, ale mu to wychodzi...

Kicia, wzruszyła ramionami.

— W takim razie, po cóż się o niego ubiegać? — rzekła. — Jeżeli przekłada samotność, a nie go nie zmusza, by postępował wbrew przekonaniu i chęciom...

— Powiem ci coś o tem później — szepnęła pan-na Helena, jasnowłosa córka gospodyni i kuzyneczka

Kici. — Czy uważasz droga, jaki to typ niezwykły? Przypatrz mu się, moja Kiciu!

— Wcale nie ciekawy! — uśmiechnęła się Kicia, lecz odwróciwszy oczy, postrzegła znów wlepione w siebie spojrzenie Bolimy i zarumieniła się prawie bezwiednie, onieśmielona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 26-go Kwietnia.

Minęła Wielkanoc obdarzając wybranych tradycyjnymi podarkami zawartymi najczęściej w czekoladowym jajku, a pozostawiając za sobą nie mniej tradycyjny jarmark na pierniki, trwający przez sześć tygodni na placu de la Nation place du Throne i Cours de Vincennes, gdzie ludęk paryżki zabawia się jak może karuzelami i rozmaitemi jarmarcznymi widowiskami, zagryzając piernikami, szynką i kiełbasą, a popijając lekkie wino i biały jeszcze lżejszy... tutejszy bock czyli piwo.

Podczas kiedy paryżanie wesoło obchodzili Wielkanocne święta, eksplozja nafty, na parowcu la Hère w Hawrze, napełniając straszny hukiem powietrze a morzem płomieni zalewając kanały portowe Tancarville i Saint-Pierre, przeraziła nie tylko mieszkańców Hawru, ale i tych co zamieszkują pobliskie wioski; tak trudno było na razie wytłómaczyć przyczynę strasznego huku.

Od chwili katastrofy postanowiono też, aby statki naładowane palnymi materiałami strzeżone były przez straż ogniową, przez cały czas pobytu ich w porcie.

Na miejsce wypadku przyjechał nazajutrz specjalnym pociągiem, prezydent Rzeczypospolitej z rodziną, w towarzystwie ministrów i wyższych urzędników.

Na przybycie prezydenta dawnego mieszkańca Hawru, miasto przybrało wygląd świąteczny; tłumy publiczności, urzędnicy, i wojsko z generałem Giovanieli na czele, przyjęli prezydenta na peronie kolei, grzmiotem frenetycznych oklasków. Różne deputacje wręczyły kosze żywych kwiatów i wspaniałe bukiety, poczem tłumny orszak ruszył do magistratu, gdzie wygłosił mowę mer Hawru, i zjazd dopiero odprowadzono prezydenta do jego willi.

Przez kilka dni pobytu w mieście, Feliks Faure był przedmiotem nieustannych owacyj, wszędzie, gdzie się tylko ukazał. Zwiedził zaś szkoły, szpitale, koszary, giełdę, warsztaty żeglugi parowej, statków francuskich i angielskich. Przytem wizyta jego na pancerniku angielskim, podczas której konsul angielski zapewnił prezydenta o sympatii narodu angielskiego dla Francji, wywarła tu bardzo dodatnie wrażenie.

Po mieście jeździł prezydent powozem. Na czele świty jechali czterej żandarmi, i czterech strzelców konnych z karabinami w rękę.

Tak niezwykła asysta ustanowiona została z powodu pogłoski, jakoby jeden z niebezpiecznych przywódców anarchistów siadł na parowiec w Anglii w drodze do Hawru.

Szczęśliwy powrót prezydenta do Paryża okazał że obawy chwała Bogu były płonnymi.

Wydany tutaj bankiet na cześć znakomitego chemika b. ministra, a dziś profesora w Collège de France, Marcelego Bertholet'a przybrał kolosalne rozmiary. Przeszło 800 uczestników zasiadło do wspaniałej uczy, do której inicjatywę dała młodzież studencka, w dowód uznania za odpowiedź daną przez profesora Bertholet'a Brunetierowi, który napisał że „nauka zbankrutowała“, a profesor dowiódł że jest ona ciągle narzędziem w dziejach postępu. To też godne uwagi jest, iż pomimo że dziś panuje zniechęcenie do nauki, znalazła się jednak młodzież, która uczuła prawdę słów czcigodnego profesora.

Niezadowolony Brunetiere, napisał w Figarze jeszcze przed bankietem kilka ostrych słów w myśl

swojej idei, ale artykuł Humberta w Eclair zbil wszelkie jego dowodzenia.

Wspaniałym był także obchód stułetniej rocznicy założenia szkoły Normalnej, w której tylu znakomitych francuzów się wykształciło.

Na zebraniu oprócz wszystkich studentów szkoły i zaproszonych znakomitych gości, stawili się i jej starzy weterani jak, biskup Perraud, prezes senatu Challemeil-Lacour, Spuller, profesor Bertholet, Juljusz Lemaître, Juljusz Simon i kilku innych.

Obchód rozpoczęto mową obecnego dyrektora szkoły p. Perrot, następnie przemawiali jeszcze minister oświaty Poincaré, profesor Levasseur i Brissier. Uroczystość zakończono świetnym balem we wspaniałe uświetnionej Sorbonie. Prezydent z żoną i córką i ministrem oświaty kilka godzin zaszczylił swoją obecnością huczną zabawę, która przeciągnęła się do rana.

A teraz chcąc dotrzymać obietnicy danej w przeszłej korespondencji, przechodzę z kolei do p. Gabryeli Zapolskiej, która niedawno temu napisaniem w „La Revue Blanche“ przeglądu literatury polskiej, zwróciła na siebie powszechną uwagę tutejszej prasy.

Rzeczywiście artykuł p. Zapolskiej zasługuje na uwagę, raz dla tego że jest pięknym stylem nader obrazowo napisany, a powtóre że literatury polskiej francuzi nie znają, więc rzecz nowa im się podoba, a nieznane imiona pisarzy interesują. Z polskich autorów pani Zapolska wymienia przedewszystkim imiona Dygasińskiego, Sienkiewicza, Szymańskiego, Junoszę, Prusa, Orzeszkową, Ostoję, Szeligę; z komedyo-pisarzy Świętochowskiego, Zalewskiego, Bałuckiego, Bliźnińskiego; z poetów Asnyka, Gawalewicz, Konopnicką, Langego, Kasprowicza, Łętowskiego, Tetmajera, dając o każdym z nich krótką charakterystykę, a kończy ogólnym poglądem na stan dzisiejszej literatury polskiej, porównawszy ją do uspiętej średniowiecznej księżniczki, i do kłkiowej, a smutnego preludium szopenowskiego.

W ogóle mówiąc, obraz literatury polskiej wyszedł z pod pióra p. Zapolskiej, banalnym, zwiedłym, nawet bez artystycznej formy, za to pełen romantycznej fantazyi i mistycyzmu. Słowa jej, przywodzą na myśl słowa czulej i troskliwej matki do ukochanego, a chorobliwie kapryśnego dziecka, jakim zrobiła autorka literaturę polską dzisiejszą, odmawiają jej energii, siły i dojrzałości.

Druga z polek i znanych autorek, p. Marya Szeliga Loévy, znów podnosiła głos w sprawie kobiet, dając odczyt w sali merostwa przy ulicy Drouot, w którym rozbiierała kwestyą „o niższości kobiet“, zbijając twierdzenia rozmaitych autorów, co do przyrodzonej niższości kobiet od mężczyzn, faktami przyrodniczymi i historycznymi. P. Szeliga dowodziła, iż różnica płci nie powinna być braną jako wyższa lub też niższa, gdyż tylko wzajemnie jej dopełnienie, stworzyć może dopiero siłę i harmonię, a z niej prawdziwy pożytek dla ludzkości.

Prelegentka mówiła długo i z takim silnym przekonaniem, że gdy zamilkła, zebrani słuchacze (kobiet było nie wiele) z entuzjazmem bili głośnie brawo, a znany antropolog d-r Manouvrier złożył p. Szelidze piękny bukiet i z kolei zabrał głos oświadczając, że dowodzenia podjęte przeciw kobietom, są albo bardzo zwykłe i niedostatecznie ugruntowane, albo też często oparte na osobistych urazach np. takiego Strinberga, który będąc w pożyciu małżeńskim nieszczęśliwym i rozwiódłszy się z żoną, był potem dla kobiet niesprawiedliwym sędzią. W końcu pan Manouvrier oświadczył się w zupełności przychylnym programowi emancypacji kobiet, jaki pani Szeliga przedstawiła.

Raulek Koczalski grał w tym miesiącu kilka razy w sali Erarda wzbudzając zawsze podziw, ale kiedy wystąpił jako kompozytor dyrygujący orkiestrą Lamoureux'go, trzymając w należytych porządku kilkadziesiąt instrumentów, entuzjazm publiczności doszedł do zenitu. Wywołymano młodzieńckiego artystę wielokrotnie, oklaski nieustawały, tak że w końcu musiano gwałtem uprowadzić Raulka z estrady, bo dziecko upadało ze zmęczenia.

Kompozytorka Raulka „Legenda o S-tym Stanisławie“, wzorowana jest na wielkich dziełach tego rodzaju Beethovena, zawiera ona wiele świeżych, miłych i łagodnych melodyj, chociaż są i poważne,

a nawet i tragiczne np. w części trzeciej symfonii. Oprócz tej pięknej kompozycji, wykonał także Raulek kilka utworów Humla, Szumana, Rubinsztejna i Szopena; wszystkie prześlicznie wykonane, porównywalne słuchaczy, dając wrażenie talentu zupełnie dojrzałego.

Tego roku nasi rodacy koncertują w Paryżu zwyciężając.

Mistrz Paderewski literalnie oczarował słuchaczy na ostatnim swoim koncercie u Erarda. Po każdym wykonanym utworze, wybuchały okrzyki zachwytu, niezliczone brawa i przeciągłe oklaski. Publiczność nie chciała opuścić sali po skończonym koncercie, zmuszając artystę do kilkakrotnego bisowania.

Nie często widzieć można taki nastrój pomiędzy słuchaczami i tak znakomitego artystę, to też kiedy nareszcie przyszedłszy trochę do równowagi zaczęło się zabierać do odwrotu, tłok się zrobił niesłychany, bo zamiast ku wyjściu wszyscy zaczęli się cisnąć przez estradę do małego foyer, aby raz jeszcze pożegnać mistrza wyrazami uwielbienia i zachwytu. Na szczęście dla wielbicieli Paderewskiego będzie on jeszcze koncertować 2-go Maja w tejże samej sali, tylko że bilety dawno już zostały rozebrane.

Kiedy jest mowa o muzyce, to niepodobna przemilczeć o wspaniałym religijnym koncercie, urządzonym w wielkim tygodniu, przez towarzystwo koncertów religijnych, w sali pałacu Trocadero.

Grano przeważnie dzieła S. Bacha, Haendla i Reichenberga. Koncert ten miał także olbrzymie powodzenie.

Do nowin w dziedzinie muzyki należy również wystawienie w operze komicznej, pośmiertnego dzieła Benjamina Godard'a p. t. „Wiwandyerka,” z librettem znanego rzeźbiarza i zarazem literata Henryka Cain. Krytyka bardzo jest łaskawą dla nowego dzieła, chwaliąc śliczną i oryginalną muzykę zmarłego mistrza, i wróżąc jej długie powodzenie na scenie. Na premierze, był prezydent Feliks Faure, wielu ministrów i cała śmietanka paryzkiego towarzystwa.

Znany tutaj poeta Eugenjusz Rostaud wystawił także z powodzeniem w teatrze Sa'y Bernhard cztero-aktowy dramat wierszowany p. t. „La princesse Lointaine” osnuty na tle legendy średnio-wiecznej.

W Teatrze Gymnase wznowienie „księżniczki z Bagdadu” nie powiodło się zbyt świetnie, publiczność zachowała się dosyć chłodno względem sztuki.

Trzy akty Alberta Bareé z muzyką M. Banés'a, wystawione w Folies Dramatiques, należą do dawnego typu opery buffe, bawiąc komizmem libreta i zręczną muzyką.

Teatr „des Lettres” wystawił już pięć sztuk nowych w tym sezonie, z których najlepsze były dwie jednoaktówki. „Pour la vie” G. Mitchell'a i „L'ame endormie” Karola Fuster; obydwie odznaczające się oryginalnością, życiem i śmiałością; grane starannie powszechnie się podobały.

Kilka dni temu, stary Got pożegnał się ze sceną, wystąpiwszy po raz ostatni na deskach teatru francuskiego; był on jednym z najznakomitszych charakterystycznych francuskich aktorów tego stulecia. Usunął się ze sceny sam, nie chcąc dopuścić swej gry do upadku. Odczytanie sonetów, umyślnie z powodu tej okoliczności napisanych przez Sully-Prudhomme'a Richepina, Silvestra i Borniera do łez rozczuliło sędziwego artystę, a wzruszenie nie dozwoliło mu wypowiedzieć co czuje, tak iż zaledwie kilkom słowami zdołał podziękować prasie i publiczności za okazane dowody uznania.

Nekrologia zapisała na swych kartach, w przeciągu kilku ubiegłych tygodni imiona Kamila Doucet, członka i stałego sekretarza akademii francuskiej, zmarłego nagle na wizycie; senatora Merlin, znanego z czasów Boulanger'a; uczonego geografa hr. Leopolda Hugo, bratanka znakomitego poety i Piotra Zaccane popularnego niegdyś powieściopisarza.

Ze śmiercią Droucet'a wakuje obecnie trzy fotele akademickie, do których jest wielka liczba kandydatów.

Na sekretarza wskazują Mezière'a albo Halévégo. Z ruchu księgarskiego notuje świeżą książkę wyda-

na nakładem Plon et Nourrit p. t. „Życie we Francji za pierwszego cesarstwa” przez wice hr. de Broc'a.

„Transporizm społeczny” przez belgijskiego socjologa Wilhelma de Greef.

„Jeruzalem” Piotra Lotiego wydaną u Calmana Lé'vy, która oprócz wielu zwykłych zalet autora, zawiera malownicze opisy świętego miejsca.

„Outre-mer” Pawła Bourget'a wyszła u A. Lemerre'a, daje ścisłą analizę obyczajów amerykańskich; jest to studium poważne, oparte na głębokiej obserwacji. Georgea Ohnet'a „La dame en gris” z pewnością będzie niezadługo wzruszać gdzie na scenie publiczność, lubiącą romanse w stylu Gorge Panine'a. Wyszło też kilka sensacyjnych romansów, Pawła Fevala syna i kilku jemu podobnych autorów. Figaro ma rozpocząć druk opisu podróży do Sudanu odbytej przez Feliksa Dubois.

Nieznany rękopis Karola Baudelaire'a świeżo odnaleziony, ma się też niezadługo ukazać w druku.

Najwięcej jednak obecnie zajmuje umysły paryżan przyszła powszechna wystawa, i obecnie wystawy sztuk pięknych otwarte jedna na polu Marsowem, a druga mająca się otworzyć w Pałacu na polach Elizejskich.

Plan pierwszej, został już całkowicie ukończony i zostanie niebawem złożony do zatwierdzenia w izbie deputowanych, która prawdopodobnie jeszcze przed feriami rozprawy nad nim skończy.

Przyszła wystawa ma zajmować brzeg Sekwany po obu stronach od mostu Zgody, aż do mostu d'Jena, dalej całe pole Marsowe, Trocadero, Esplanadę Inwalidów i całą przestrzeń pałacu de l'industrie.

Wieża Eiffel ma pozostać nietkniętą, za to pawilony na placu Marsowem i cały pałac de l'industrie zostaną rozebrane.

Na polu Marsowem będą budować małe pawilony i wielki pałac, *Elektryczności*, która będzie królowała na wystawie. Oprócz tego brzegi Sekwany mają być upiększone tarasami, które pozostaną na przyszłość jako miejsce przechadzek.

Zburzenie pałacu de l'industrie, odkryje wspaniałą perspektywę z pałacu prezydenta na gmach Inwalidów, a w tejże linii na Sekwanie zbudują nowy most żelazny, ozdobiony wiszącymi ogrodami.

Oto, co na początek mogą donieść o zapowiadanych cudach przyszłej wszechświatowej wystawy.

W salonie tegorocznym na polu Marsowem, przedewszystkiem budzą zaciekawienie wielkie płótna Puvisa des Chavannes, Rolla, Friant'a, wspaniałe pejzaże Cezina, portrety; Sary Bernhardt, malowany przez Uhdego, Seweryny, przez Hawkinsa, udatne portrety Aksentowicza, i kilka pejzaży Karbowskiego.

Zamknięty wczoraj salon „Niezależnych” zawierał także kilkanaście dzieł Polaków, zamieszkających w Paryżu, mianowicie: studia Mierosława Peskego, kilka portretów pejzaży i martwej natury Władysława Słewińskiego.

Oprócz wielu dzieł bez żadnej wybitniejszej wartości były tutaj obrazy wcale dobre np. pejzaże Maksymiliana Luce, lub portret belgijczyka von Ryszembelgh'a, sceny rybackie Lewisohna, Suchotnica Reddyes'a i wiele innych, których do tak pobieżnej wzmianki zamieszczać niepodobna.

Za to wystawę w pałacu de l'industrie, mającą się otworzyć 1-go Maja, postanawiam zwiedzić szczegółowo, aby szerzej opisać tak obrazy, jak i rzeźby w następnym liście.

C. H.

Dzień pobytu w Chinach.

Niegdyś Chiny leżały w znacznej od Europy odległości. Czasy się zmieniły, a odległość ta zmniejszała się o wiele, dzięki środkom komunikacyjnym, które rozwinęły się w zadziwiający sposób. Gdy w Chinach zajdzie ważne jakie zdarzenie, Europa tego samego dnia jeszcze, może być o niem zawiadomiona, za pomocą iskry elektrycznej. Mamy

więc obecnie możność śledzić dzień za dniem wojenne wypadki, w które wpłatało się to olbrzymie państwo, aby odeprzeć ataki swego rywala, ruchliwego Japończyka. Sprawy te zainteresowały w wysokim stopniu całą Europę, prawdopodobnie więc, czytelnicy chętnie na dzień jeden przeniosą się za nami myślą, do jednej ze stolic Chińczyków, aby przyjrzeć się ich życiu.

Wyobraźmy sobie, że znajdujemy się na parowcu pod Kantonem, potężnym handlowym miastem liczącym półtora miliona mieszkańców; parowiec nasz szybuje wśród pływającego przedmieścia złożonego z samych statków. Każdy statek to dom mieszkalny całej rodziny, a w ten sposób żyje na wodzie 300,000 ludzi. Dążymy w kierunku małej wysepki Shamin, będący cudzoziemską kolonią Kantonu. Wązki kanał oddziela miejsce schronienia Europejczyków od chińskiego wielkiego miasta pełnego zgłębku i wrzawy.

Nikt nie wzbrania nam jednak zwiedzić Kantonu, a przewodnik zjawia się natychmiast na nasze usługi. Na wizytowej kartce, którą nam podaje wydrukowane jest jego nazwisko Ah-Cum, pod spodem, po angielsku „Canton City Guide,” co znaczy: przewodnik po Kantonie. Przewodnik ten, poważny, niemłody mężczyzna, typowy żółty Chińczyk ubrany w jedwabną draperyę; mycka zasłania mu głowę warkoczem opatrzoną; filcowe pantofle na nogach, i wachlarz w prawym ręku, dopełniają całości ubrania. Za wskazówką tego człowieka, niosą nas w lektykach ku środkowi wielkiego miasta, będącego ogniskiem bogatej południowej prowincji Chin.

Zwiedzamy przedewszystkiem, niektóre ulice odznaczające się bogatymi sklepami. Jednopiętrowe domy, stoją tuż jeden obok drugiego, tworząc zaciśnięte, wąskie uliczki mające zaledwie dwa metry szerokości. Sklepy znajdują się w każdym domu, i zaopatrzone są szyldami jak w Europie, lecz w inny sposób umieszczonymi, wiszą one pionowo od dachu ku ziemi, i służą jednocześnie za reklamę, jak objaśnia nasz tłumacz. Przedewszystkiem kupiec zapewnia o swej uczciwości, a piękne złote napisy na jaskrawo pomalowanych tablicach, brzmią niejednokrotnie: „Dźwięk naszych dolarów jest czysty jak śpiew słowika nad strumykiem” lub „Nie jestem żółtym jeśli nie jestem uczciwym.” Sklepowych wystaw z szybami niema tu wcale, za to przy drzwiach u wejścia, na wysokości ramion, umieszczone są galeryjki, a na nich różne drobiazgi. Pragnąc zaspokoić ciekawość naszą, wchodzimy do kilku sklepów, aby przyjrzeć się dokładnie towarom i nabyć w Chinach na pamiątkę niektóre drobiazgi. Nasz warkoczowaty Cicerone, jako doświadczony człowiek w swym fachu, zna gust cudzoziemców, wydaje więc rozporządzenie naszym tragarzom, którzy szybkim krokiem mijają ulice miasta, mieszczące sklepy z produktami żywności; Chińczycy sprzedają tu i nabywają owoce i jarzyny, ogórki i melony, mięso i ryby, rybnie pletwy, odarte ze skóry psy, koty i szcury i tym podobne chińskie delikatesy. Uszczęśliwieni jesteśmy, pozostawiając za sobą te uliczki napełnione nieprzyjemnymi wyciekami i dostajemy się do dzielnicy, w której odbywa się sprzedaż przedmiotów chińskiej sztuki. Widzimy tu mnóstwo przedmiotów, sprowadzanych także do Europy, i wystawianych w muzeach, lub jako chińskie osobliwości, zdobiących nasze mieszkania. Większość tych przedmiotów, zaliczyć można według naszych pojęć do wyrobów sztuki stosowanej. Cierpliwy i pracowity Chińczyk dochodzi do mistrzostwa w pracach wymagającej niewyczerpanej cierpliwości. Wchodzimy do sklepu z wyrobami rzeźbionymi ze słoniowej kości, a „uczciwy żółty człowiek,” przedstawia nam rzeźbione wachlarze, szachy, oraz pałeczki, zastępujące w Chinach nasze widelce; z przedstawionych okazów, zwraca naszą uwagę kula ze słoniowej kości, złożona z kilkunastu wydrążonych kul, włożonych jedna w drugą, a wyrobionych w jednej sztuce. Jestto w swoim rodzaju arcydzieło dowodzące zręczności i cierpliwości Chińczyków; odznacza się również druga, większa nieco, kunsztowną rzeźbą ozdobiona kula, z kilkoma wyrobionymi w niej z geometryczną ścisłością okrągłymi otworami, i pewną liczbą swobodnie poruszających się w jej wnętrzu wydrążonych kulek, z których każda zawiera w sobie takąż samą liczbę mniejszych kulek, a wszystkie również w jed-

nej sztuce wyróżnione. Z tych kulek ostatnia tylko, środkowa jest masywna, i przytem bardzo mała — wielkości grochu mniej więcej, każda z tych wydrążonych, wewnętrznych kulek ozdobiona jest misterną wypukłą — rzeźbą, i w każdej znajduje się ta sama ilość otworów, co w zewnętrznej kuli, którą zdobi najbogatsza rzeźba, przedstawiająca bardzo dokładnie różne sceny z domowego życia Chińczyków. U dołu kuli, jest piękny ornament, w górze figura z łańcuszkiem, zakończonym rybką. Od rzeźbiarza przewodnik prowadzi nas do sklepu z jedwabnymi towarami, i do hafciarza; roboty zasługujące na wyróżnienie są przeważnie dziełem mężczyzn, Chińczyk bowiem włada igłą, tak wprawnie jak młotem. Następnie za warkoczowatym cicerone idziemy do sklepu z wyrobami drobnej mazaiki. Przedstawiają nam przedmioty z prasowanego metalu, służące do ozdoby, z naklejonemi na nich z mozolną cierpliwością i starannem wykończeniem drobnymi kawałkami ptasich piórek, połyskujących niebieską i purpurową barwą. W końcu zwiedzamy sklep z przedmiotami malowanymi na ryżowym papierze; niedrogo tu malowidła, małej wartości pod względem artystycznym, wykonane zbiorowemi siłami, gdyż w obrazkach tych inny artysta przygotowuje kontury, inny maluje twarze, inny ręce, inny znów wykończy ubranie. W liczbie towarów na sprzedaż, znajdujemy tu fotografie europejskie, amerykańskie oraz miejscowe.

Od sklepu handlarza przedmiotami sztuki, do pracowni artysty, krok tylko nas dzieli; kierujemy się ku niej i nowe czeka nas tu zdumienie. Na stalugach spostrzegamy postać chińskiej Madonny. Przenajświętsza Dziewica z Dzieciątkiem na ręku, ma rysy typowej Chinki, a Dzieciątko nosi na sobie również charakterystyczne cechy małego Chińczyka. Obraz wykonany był na obstatunek pewnego misjonarza, i objaśniono nas, że w państwie środkowym znajduje się wiele obrazów religijnych w tym samym rodzaju; pragną bowiem w ten sposób powierzchownie więcej zbliżyć Świętych do złotego narodu chińczyków.

Ah-Cum, nasz sławetny przewodnik lubuje się widocznie w kontrastach, gdyż ztąd, prowadzi nas do jednej z ośmiuset świątyń Kantonu, gdzie mamy sposobność podziwiać złożone drewniane posągi, przedstawiające geniuszów, czyli apostołów Buddy naturalnej wielkości, w liczbie około pięciuset.

Jedna z tych figur zwraca naszą uwagę, gdyż ma twarz o rysach kaukazkich, przytem kapelusz i buty europejskie. Cicerone wskazuje nam z uroczystą miną swą postać, ma to być Marko Polos, przyszły twórca chińskiej sławy!

Dla braku czasu podczas naszej wędrowki po Kantonie, pomijamy bliższe szczegóły o religii Chińczyków. Jako dawny kulturalny naród Chińczycy różne mają religie i różne wyznania, — narodową naukę o bóstwie zreformowaną przez Konfucjusza; wyznają buddaizm o różnych sekteńskich odcieniach; nie zbywa również na Mahometanach i Chrześcianach w środkowym państwie, lecz pomimo różnicy wyznań, wszystkim Chińczykom wspólny jest zabobon.

Na ziemi roi się od geniuszów i demonów, złych i dobrych duchów, a stosunki z nimi w Chinach są znacznie bliższe, niż w spirytystycznych kołach, z duchami w Europie.

W świątyniach i domach wznoszą swym duchom ołtarze, a duchowni wiele mają zachodu, aby przy lada okazji zaklinać owych bożków, lub dawać wyrocznie przed ich posągami.

Fortele, używane przy tych ceremoniach są niemniej tajemnicze, jak te, któremi posługują się czaroksiężnicy wszystkich innych narodów.

Laska czarodziejska odgrywa ważną rolę w Chinach, jak również przy zaklęciu bożków zwyczaj palenia drążków z pachnących i odurzających materiałów; różnokolorowe pałeczki wysypywane z kubka służą do celów wyroczni; ponsowy kolor oznacza szczęście, biały — żalobę.

Czas nagli, opuszczamy zatem świątynię, podczas wzywania bożków; nie przejmujemy się temi ceremoniami, gdyż stosownie do naszej wiary, nosimy we własnej piersi gwiazdę naszego losu. Warkoczowaty przewodnik, oburzony obojętnym zachowaniem naszym wobec tych cudów, postanawia widocznie rozbudzić przerażenie w sercach „czerwonych dyabłów“, jak nazywają Europejczyków w Chinach,

i prowadzi nas do „świątyni trwogi“, przedstawiającej w plastyczny sposób zbiór wszystkich chińskich piekielnych tortur. Tu oczom naszym przedstawia się obraz strasznych mąk, zadawanych nieszczęsnym grzesznym duszom, za pomocą piłowania, miażdżenia, rąbania i gotowania. W istocie wzdrygamy się na widok tego obrazu; okrucieństwa tu przedstawione nie są pozaświatowej natury, istnieje to piekło na ziemi, a złoty Chińczyk nieraz musi wychylić do dna kielich jego goryczy.

Okazawszy nam kary wieczne, Ah-Cum prowadzi nas do przybytku stosowania kar ziemskich, gdzie sędziowie urząd swój sprawują. Wysokie kolegium sędziów, zgromadzone około stołu w specjalnych ubiorach bada oskarżonego, który podczas tej czynności i sądowych narad, zmuszony jest pozostać na kolanach. W naszej obecności posiedzenie sądu odbywa się przyzwyczajenie, bez żadnego nacisku ze strony sędziów, robi to jednak na nas wrażenie, że przed „czerwonymi dyablami“ odgrywa się komedia. Wszak w Chinach badanie sądowe nosi złośliwą nazwę „interesu torturowego“, i w istocie wydobywają tu zeznania, za pomocą okrutnych tortur, nie tylko od samego oskarżonego, lecz i od członków jego rodziny. Sąd również po uznaniu winy oskarżonego wyznacza okrutne kary. W Chinach obowiązuje zbiór starożytnych prawideł karnych, któremi się tam zadawalniali; mamy też sposobność poznać rodzaj niektórych kar, gdyż przewodnik idzie z nami do jednego z więzień Kantonu. Nie potrzeba przekroczyć żadnych niedostępnych dla ogółu lub skrytych bram, aby przekonać się o jego okropnościach. Nizką wąską stajenką, w której osadzeni pokutują za swe winy, oddziela od ulicy tylko drewniana krata, a przez nią dokładnie przyrzeć się można obdartym postaciom leżącym na brudnej słomie. Niektórzy okuci są w łańcuchy, innym uwieszono szyję w desce, a wszyscy żyją tu na własnym kosze, i błagają przechodniów o wsparcie. Buddha nauczał, że należy bezprawie odpłacać dobrocią, gdy zaś pytano Konfucjusza czy można bezprawie odpłacać dobrocią, odpowiedział mędrzec chiński: „Jakże więc wynagradzać dobroć? Odpłać bezprawie sprawiedliwością, dobroć dobrocią.“

Wreszcie przewodnik przedstawia nam rzeczy bardziej godne widzenia. Z rodzajem dumy narodowej, połączonej z uznaniem, ukazuje nam wielki budynek: hallę egzaminacyjną, obejmującą około 15,000 celek. W tych ciasnych klatkach poć się o każdej porze uczeni kandydaci do miejscowych egzaminów państwowych, aby udostępnić sobie drogę do wyższych urzędów. Egzaminy te bardzo są utrudnione i na stu egzaminowanych zaledwie jeden zdaje. Samo pismo chińskie przedstawia wiele powikłań, a jak szeroko ukształtowane są chińska literatura i wiedza! Uczony Chińczyk przestudować musi cały szereg podań tradycyjnych, sięgających odwiecznych czasów, i może przez to dumnym jest ze swego wykształcenia. Rzeczywiście, wiele to umiejętności znanych było Chinom, zanim Europejczycy wyobrażenie o nich powzięli. Druk, proch, kompas znane im były oddawna, Chińczycy mogli by słusznie być dumni swą przeszłością, gdyby u nich postęp wzrastał z biegiem czasu, lecz niestety używają tylko dawnej spuścizny, stoją na miejscu, a dumę ich nazwać by można zarozumiałością, ciemnotą.

Niejednokrotnie probowano położyć koniec temu zasklepieniu się Chin i zmusić je do podążania za prądem nowoczesnego rozwoju cywilizacji. W tym celu grzmiały nieraz armaty u wybrzeży Chin, i u wrót Pekinu; również misjonarze usiłują od wieków zbliżyć Chiny do cywilizacyjnego stanu Ameryki i Europy.

Przed dwustu laty, Chrześcijanie mieli dostęp na dwór cesarza Szong-Tfu, a misjonarze wywierali znaczny wpływ na jego osobę. Na wałach Pekinu urządzono wówczas obserwatorium, a Jezuici mianowani zostali nadwornymi astronomami. Następcy cesarza Szong-Tfu nieprzychylnie byli dla chrześcijaństwa usposobieni; w r. 18:8 nadwornych astronomów usunięto, i oddał obserwatorium opustoszało, ciekawy podróżnik może już tylko podziwiać pozostały wielki globus mający 7 stóp średnicy, oraz inne przyrządy doskonale wykonane. W ostatnich czasach Chiny postarały się w Europie o instruktorów przynajmniej pod względem sztuki wojennej,

jednakże reformy nie mogły być przeprowadzone w sposób zadawalniający, z powodu słabych zdolności wojennych u Chińczyków, jak również nadzwyczaj lekkiego ich usposobienia, oraz niewierności i przekupstwa świata urzędniczego. Obecnie Chiny otrzymały gorzką naukę od pokrewnego narodu Japończyków, którzy sprytniejsi od nich przystosowali się dawniej do europejskiego kierunku. Bez najmniejszej wątpliwości, wojna ta wpłynie wiele na zbliżenie się Chin do nowożytnego cywilizowanego świata, jakkolwiekby rozstrzygnął się ich losy. Nowy duch zapanuje wtedy w hallach egzaminacyjnych olbrzymiego państwa, nowa wiedza i nowe dążenia odrodzą stary kulturalny naród.

Shczęście sprzyja nam podczas naszej wędrowki po wielkim chińskim mieście, otrzymujemy zaproszenie do domu pewnego bogatego kupca, i mamy sposobność przyrzeć się z blizką familijnemu życiu warkoczowatego obywatela. Przyjmują nas w salonie, którego urządzenie wydaje się nam bardzo pretensjonalne. Umeblowanie z czarnego drzewa, jak heban wyrobionego, stoły wyłożone marmurowemi blatami, a krzesła również marmurem ozdobione; ściany pozawieszane tak zwanymi „Kakimonosami“, długimi pasami z papieru lub jedwabnego materiału zakończonemi w górze i w dole okrągłemi prętami z drzewa lub rogu. Na szczęście nie jesteśmy zmuszeni próbować wykwintnego obiadu chińskiego, do którego produktów dostarcza ziemia, morze i powietrze. Zadawalniamy się jedynie filiżanką herbaty wybornie przyrządzonej, i bierzemy udział w domowych uciechach naszego gospodarza. Sztuka jest tu widocznie uprawiana, wprawdzie niema fortepianu, ale starzy jak młodzi przynoszą flety, puzony, trąby, kotły i gitary. Rozpoczyna się koncert, a my błogosławimy w duchu naszą niemuzikalność.

Na chwałę Chińczyka przyznać należy, że lubi domowe życie, które tu urządzone jest patryarchalnie.

Chinka, wyjęta w ogóle z pod praw, jest jednak wzorową matką i gospodynią, i nie szukając w tem chwały, odznacza się uczciwem postępowaniem; wiele też spotyka się w Chinach pomników wzniesionych enotliwym kobietom.

Słońce chyli się ku Zachodowi, Ah-Cum, pragnie pokazać nam jeszcze jaką osobliwość, według swego programu. Zwracamy się w stronę rzeki; na jej złotych falach oczom naszym okazuje się cały szereg statków, setkami stojących na kotwicach. Jestto pływające miasto rozkoszy, a bogaci mieszkańcy Kantonu, chętnie odwiedzają tę dzielnicę, zwaną poetycznie kwiecistemi statkami. W istocie całe kosze kwiatów zwieszają się z sufitów bogato przybranych kajut. Siedzą tu możni Chińczycy przy obfitej uciecie, lub szklaneczce upajającego napoju, a przygrywiają im strojne dziewczęta.

Noc rozpostarła ciemne swe skrzydła nad miastem rozkoszy; na stu statkach odzywają się gitary i wesołe głosy. Wszystkie wrażenia doznane w bogatym mieście starego świata, znużyły nas niezmiernie; płyniemy więc w stronę naszego parowca, i tu pod europejską flagą, czujemy się znów jakby na gruncie Europy.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż w ciągu pięciu lat ostatnich nie bito w Rosyi zupełnie ani złotej, ani srebrnej monety. Złoto, otrzymywane z kopalni, przechowywano sztabami w Banku państwa i dopiero obecnie mennica petersburska poczęła bić monetę złotą i zakupywać srebro na ruble i pół ruble srebrne. Przez lat trzy postanowiono wybić monety złotej za 600,000,000 rs.

— Rada państwa zatwierdziła typ niższej szkoły rzemieślniczej z kursem czteroletnim. Ostatni rok kształcenia się w szkołach takich poświęconym będzie wyłącznie zajęciom praktycznym.

— Generał Kuropatkin zdawał w tych dniach przed Wielkim Księciem Włodzimierzem Aleksan-

drowiczem sprawę z podróży swojej do Persyi. Generał wykazywał konieczność przyspieszenia budowy kolei żelaznej Tyflis-Erywań w przedłużeniu jej do Dżulfy i Taurysu. Generał żądał też szybkiego przedłużenia bitej drogi Euzeli—Kazań, oraz urządzenia w Euzeli portu, a także przedłużenia traktu Astarty-Tauryza, oraz poprawienia i udogodnienia traktu Aschabat-Meszedem.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności odbyło posiedzenie wydziału kuchni tanich. W ciągu roku zeszłego kuchnia Nr. 1, wydała 421,104 obiadów, mając dochodu 26,559, wydatku zaś 26,282 rs. Kuchnia Nr. 2 miała dochodu 26,113, wydatku 26,509 rs., obiadów wydała 462,443. Wzniesie się wkrótce nowo zbudowany lokal kuchni taniej w drugim podwórzu domu cyrkułu Nowoświeckiego. Na wniosek dr. Palaka utworzyła się komisja celem ułożenia na zasadach higienicznych spisu potraw wydawanych; wiceprezes wydziału, p. Pawlicki odczytał opis działalności kuchni tanich w przeciągu 25 lat ich dobroczynnego istnienia.

— Rozpoczęto w końcu zeszłego tygodnia roboty wykończające budowę wznoszącej się świątyni, kościoła Ś-go Augustyna. Program robót na rok bieżący obejmuje wykończenie wewnętrznych robót mularskich, oraz dalszą budowę głównej wieży bocznej, która w roku zeszłym doszła już do wysokości 80 łokci, a w bieżącym ma być wykończoną. Komitet budowy usiłuje, aby wszelkie roboty mularskie wykończono w roku bieżącym, zamierzając, aby w 1896 r. świątynia została urządzona wewnątrz, następnie poświęcona i otwarta dla pobożnego użytku ludzi dobrej woli.

— Arcybiskup Popiel wyjechał w d. 27 Kwietnia do Częstochowy, gdzie odprawiając nazajutrz mszę przed cudownym obrazem Najświętszej Panny udał się w dalszą drogę do Rzymu.

— W głównej sali wystawy Towarzystwa sztuk pięknych, odbyło się ogólne zebranie członków, na którem odczytano sprawozdanie z działalności komitetu za rok ubiegły, oraz rozpatrywano wnioski podane przez stowarzyszonych. Następnie dokonano wyboru nowych członków do komitetu i komisji rewizyjnej.

— Malarz, Józef Brodowski, wykonał obraz olejny, przedstawiający Napoleona I-go, przejeżdżającego konno ze switą wojskowych most na Elbie pod Dreznem, którego mury ukazują się w dali.

— Na ostatnim posiedzeniu zarządu wystawy higienicznej, odbytem pod przewodnictwem prezesa zarządu, dr. Brodowskiego, komisja budżetowa wykazała, iż ogólna suma rozchodu wynosi około 33,000 rs., licząc już w to i subsydia dla oddzielnych komitetów, przedstawiające 6,000 rs. Rozchody te pokrywają się przecież zupełnie przez dochód za bilety wejścia, za opłaty wystawców, oraz z dzierżawy restauracji, mleczarni, kiosków z wodą sodową i tym podobnych dochodów, które w budżecie pierwszej wystawy higienicznej w 1887 r. urządzonej na mniejszą skalę i w warunkach mniej przychylnych, dały blisko 29,000 rs., nie licząc jeszcze kilku tysięcy rubli, otrzymanych niewątpliwie ze sprzedaży materiałów, użytych na budowę pawilonów innych budynków wystawowych, oraz sporządzenie wzorów deklaracji wystawców i określić warunki, na jakich okazy przyjmowane będą. Dr. Dobrzycki, prezes sekcji higieny ludowej, przedstawił w zarysach ogólnych program prac tej sekcji, który został przyjętym w zasadzie. Udział w naradach brało przeszło dwudziestu członków, a w tej liczbie wszyscy prezesi oddzielnych komitetów naukowych wystawy.

— Wojciech Gerson napisał list otwarty do członków rzeczywistych Warsz. Towarzystwa sztuk

pięknych w przedmiocie budowy domu dla Towarzystwa na placu przed kościołem ewangelickim, udzielonym Towarzystwu przez magistrat miasta pod budowę. W skutek takiego to budowania gmachu Towarzystwa na gruncie nie należącym do niego, straciło już 20,000 rs. i ze względu na takie wypadki powstał zamiar budowania na gruncie własnym. Te 20,000 rs. włożyło Towarzystwo w galeryę po-bernardyńską, udzieloną Towarzystwu na lat piętnaście z przewidywaniem otrzymania jej na własność i poniekąd już tak, jak gdyby rzecz była zapewniona. Obok tego i innych jeszcze ograniczeń, piszący zwraca uwagę projektodawców na rzecz tę ważną, że gmach Towarzystwa wzniesiony naprzeciwko kościoła, nie mógłby umieścić na froncie swoim posągów, nie zgadzających się ze względami należnemi świątyni. Miejsca pod budowę dość jest na Nowym Świecie, na Krakowskim-Przedmieściu i w wielu innych okolicach miasta, gdzie wprawdzie Towarzystwo potrzebowałoby płacić drogo, ale są sprawy wobec których pewne oszczędności nie mogą być brane w rachunek.

— Na pierwszym posiedzeniu nowoutworzonego Towarzystwa przeciwbieżącego, odbytem w d. 23 kwietnia, dyskusja trwała przeszło dwie godziny, a skutkiem tego uchwalono, iż od miesiąca lipca komitet Towarzystwa zajmie stale lokal przy ul. Podwale, pod nr. 27, gdzie mieścić się będzie kancelarya i kasa Towarzystwa. Celem zaznajomienia się bliżej ze sprawami instytucji, komitet deleguje do każdego oddziału członków swoich, obowiązanych do składania sprawozdań na posiedzeniach komitetu. Delegaci tworzyć będą kommisye odbiorcze, to jest odbierające inwentarz zakładów Towarzystwa i w tym celu wydelegowano: do przytułku noclegowego na Pradze ks. Dudrewicza, na Rybakach p. Juszczyka, na ul. Czerniakowskiej p. Albertiego. Do garnikuchni przy rogatek wolskiej p. Szlenkera, na placu Witkowskiego p. Handkego, na ulicy Targowej ks. Dudrewicza, na placu Grzybowski p. Fuchsa, na placu Mirowskim D-ra Benniego, przy ul. Szeroki Dunaj ks. Chełmickiego, przy ulicy Czerniakowskiej, p. Albertiego, na placu Wojennym i przy ul. Grzybowskiej p. Kirsztota. Do domu zarobkowego na Pradze delegowano kommisję z udziałem p.p. Handkego, Natansona, Różyckiego i Libickiego. Kommissya do spraw żebractwa opracowywać będzie plan działalności Towarzystwa, a do tej kommisji weszli p.p. D-r Baranowski, D-r Markiewicz, D-r Benni, Kirsztot, a z urzędu jako wice-prezes ks. Chełmicki i Antoni Zalewski, jako sekretarz Towarzystwa.

— Prezesem stowarzyszenia miejskiej orkiestry cywilnej w Krakowie „Harmonia“, został prof. Henryk Jordan.

— Gospodarcza sekcya krakowskiej rady miejskiej nie przyjęła w całości wniosków, przedstawionych sobie z zamiarem, aby miasto, chcąc pozyskać sobie osobną dzielnicę rękodzielniczo-przemysłową, wzniosło ją na gruntach, będących własnością miasta, a zwanych Maślakowską. Rada opracowała uchwałę, przyznającą znaczne ulgi i ustępstwa dla przemysłowców i rękodzielników, którzy nabywać będą w tej okolicy parcele gruntów pod wznoszenie budynków tak mieszkalnych, jak i zajętych na zakłady fabryczne. Termin licytacji naznaczono na dzień 1-go Maja, odbywają się przecież głosy, że w stosunku do założenia swego ceny są i tak zbyt wysokie.

— Właściwy sezon operowy, skończył się we Lwowie, dano tylko jeszcze po nad program „Trawiatę“, a następnie przedstawienie na dochód dziennikarstwa. Wystawiono tu po raz pierwszy jednoaktówkę Sienkiewicza „Pójdźmy za Nim“, fragment dramatyczny, przerobiony na scenę przez Z. Przybylskiego, „Ostatni grosz“ jednoaktówkę Wołowskiego, monodramat Junoszy „Wojciech Mucha“

i komedię Przybylskiego „Na przekór.“ Orkiestra, rozpoczęła przedstawienie „Marszem dziennikarskim“ kompozycji Lewandowskiego.

— Do wiadomości ważnych zaliczyć należy nowinę, iż Brazylija nie chce już przewozić bezpłatnie przez morze wychodźców galicyjskich, co bardzo szczęśliwie wpłynęło na zmniejszenie się tego nieszczęsnego ruchu ośrodkowego. Zaczyna prążyć, arcybiskup Zalewski, rodem ze Żmudzi, odbył w Indjach siedem synodów prowincjonalnych z wielkim pożytkiem dla misji naszych. Buduje się obecnie w Ceylonie kaplica pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej na gruntach posiadłości zwanej „Litwa.“ Koloniści nasi w Ameryce Południowej znajdują niejaką opiekę duchowną w tych okolicach, gdzie pod przewodnictwem księdza Bosko, zostający Selezjanie naszej narodowości, otaczają ich możliwą pieczołowistością tak pod względem moralnym, jak i ratując w biedzie.

MYŚLI

— Zabijać ideał poszukując wiedzy, nie jest ani szczęściem, ani cnotą, bo znaczy to obdzierać ludzkość i samego siebie z tego, co podnosi w nas ducha.

— Zamiast zabierać bogatym, aby dawać ubogim, należy zwiększyć w taki sposób mienie ludzkości, aby wszyscy chcieli i umieli pracować.

— Kiedy człowiek żył jeszcze na łonie natury, o doli jego i niedoli rozstrzygała siła pięści. W miarę przecież jak wejrzał głębiej w siebie, poczuł, że potrzeba mu jest siły ducha, aby osiągnąć szczęście.

— Pesymizm rodzi się z braku wiary w ludzkość, więc pesymista poniża w człowieku samego siebie.

— Żaden człowiek nie zniknął ze świata zupełnie. Zawsze przeżywają go czyny spełnione — to, przez co był dobrym, lub złym przykładem dla ludzi, podnosił ich zatem, albo poniżał.

— Im człowiek jest mniej rozwiniętym duchowo, tem więcej ulega naturze cielesnej, to też mniej szlachetną i wydatną jest jego indywidualność.

— Płochosć i egoizm sprzeciwiają się najsilniej idealnemu pojęciu życia, idealnych uczuć rozwojowi, bo płochosć nie pojmuje tego, co jest wzniosłem, a egoizm nie daje się unieść tym uczuciom, które wzniosłość rodzą.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: powieść **Co jest szczęście?** przez Aleksandra Römpera. Przekład z niemieckiego, ark. 1 i 2.

TREŚĆ: Ludwika Peters, przez M. I.—Z teki dekadenta, przez Selima.—Notatki pedagogiczne.—Trzy chwile, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—Nowiny paryżkie, przez C. H.—Dzień pobytu w Chinach.—Z bieżącej chwili.—Myśli.

Dodatek obejmuje: **Co jest szczęście?** powieść przez Aleksandra Römpera, przekład z niemieckiego ark. 1 i 2. — Przegląd mód. 48 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 19 Апрель 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.